

Tematy tygodnia

- 12 **Bianka Mikołajewska**
Jakub Stachowiak
Biznes pana Szydły

- 15 **Mariusz Janicki,**
Wiesław Władyka
Jak PiS wychowuje
sobie opozycję

- 18 **Jagienka Wilczak**
Polscy Ukraińcy

Rozmowa POLITYKI

- 21 **Prezydent Niemiec**
Joachim Gauck o tym,
co nam dało 25 lat dobrego
sąsiedztwa

Polityka

- 24 **Janina Paradowska**
Czy PSL to przetrzyma

Społeczeństwo

- 26 **Michał Szczęch** **Bił, aż zabił**

- 29 **Rozmowa z dr Anitą**
Kucharską-Dziedzic
o tym, dlaczego dzisiejsze
państwo toleruje przemoc
w rodzinie

- 30 **Z dr. Pawłem Ukielskim,**
wiceprezesem IPN o tym,
co zrobić z poradzieckimi
pomnikami

- 33 **Paweł Walewski**
Magnetoterapia: leczenie
czy zwrodzenie?

- 36 **Joanna Podgórska**
Kobiety się wściekły

- 38 **Piotr Pytlakowski**
Kogo uczcić w Wyszku

Rynek

- 42 **Rozmowa z prof. Markiem**
Belką o zakrętach reform III RP
i obsesji taniego państwa

- 46 **Cezary Kowanda**
Porównywarka POLITYKI:
płatności mobilne

- 51 **Adam Grzeszak**
Gazowe Międzymorze
– efektowna fantazja

Świat

- 54 **Maciej Okraszewski** **KANADA**
Raj dla lewaków

- 58 **Jędrzej Winiecki** **AZERBEJDŻAN**
Dyktator urzędu
wyścigi

- 60 **Dariusz Kała** **WĘGRY**
Tak działa partia Orbána

15



Przeciw PiS – razem czy osobno

21



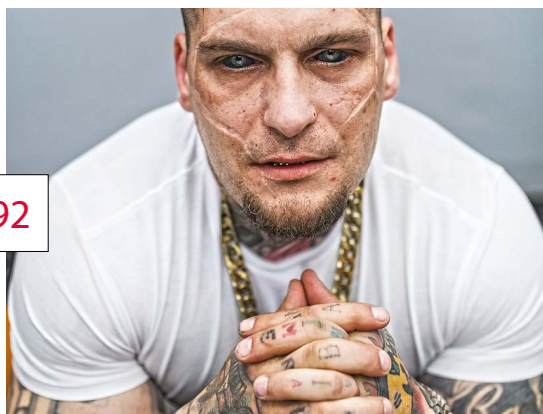
Prezydent Gauck: tłumacz Polski

26



Przemoc za spuszczone żaluzjami

92



Popek – kontrowersyjna gwiazda

- 62 **Łukasz Wójcik**
OGLĄD I POGLĄD
Suwerenność – ulubione
hasło skrajnej prawicy

Historia

- 64 **Tomasz Targański**
Karol IV – ojciec czeskiego
narodu

- 67 **Zbigniew Rokita**
Największy polski piłkarz
czy zdrajca?

Nauka

- 70 **Agnieszka Krzemińska**
Co my wiemy o Majach

- 74 **Edwin Bendyk**
Kapitał społeczny, czyli co?

Kultura

- 80 **Aneta Kyzioł**
Telewizyjne gwiazdy
wchodzą do sieci

- 84 **Piotr Sarzyński**
Matka Boska muzealna

- 86 **Michael Gira** o szczerości
muzyki i nowej płycie jego
zespołu Swans

- 88 **Rozmowa z holenderską**
reżyserką **Lotte van den Berg**
o tym, jak ze sobą rozmawiać
w skłóconym społeczeństwie

- 91 **KAWIARNIA LITERACKA**
Jacek Dehnel

Ludzie i style

- 92 **Ryszard Wolff** **Dziwny król**
YouTube'a

- 96 **Mirosław Pęczak**
XIII Letnie Ogrody POLITYKI

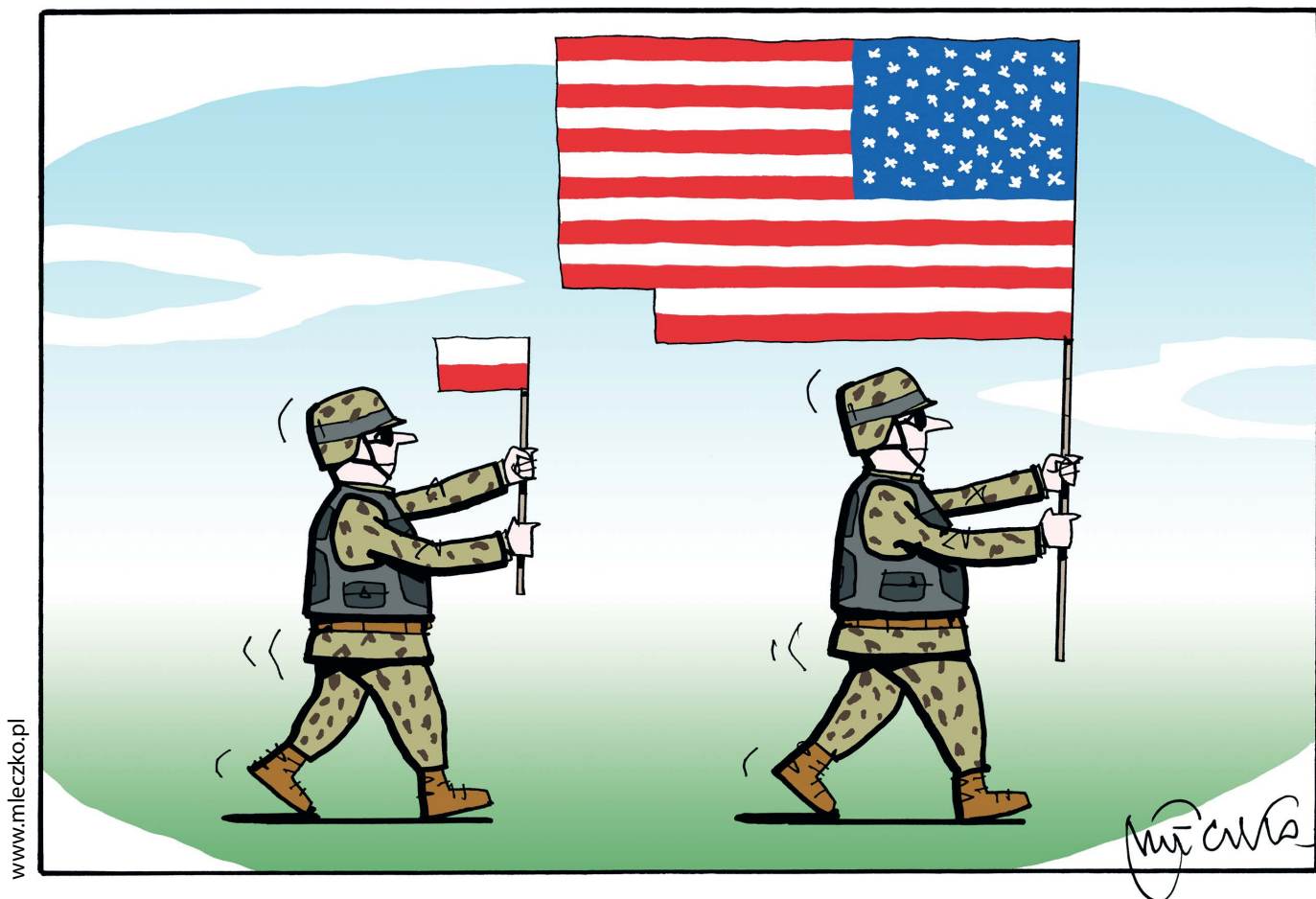
- 99 **Mariusz Herma**
Przepis Google'a
na idealny team

Na własne oczy

- 108 **Marcin Piątek**
Euro 2016: mecze i bijatyki

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia • 76 Afisz
- 102 Passent • 104 Stomma
- 105 Tym • 106 Do i od redakcji
- 107 Fusy, plusy i minusy
- 114 Polityka i obyczaje



GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Wieszanie redaktora

Trudno zrozumieć narzekania znanego komentatora sportowego red. Zimocha, że został zawieszony przez zarząd Polskiego Radia. W końcu politycy PiS lojalnie uprzedzali, że zdrajcy Polski będą wisieć (ewentualnie zostaną ogoleni na tyso). Zdaniem pełnomocnika red. Zimocha zawieszenie to „kara za poglądy i ocenę rzeczywistości” wyrażoną w wywiadzie prasowym. I w opinii niektórych – kara słuszną, bo umówmy się, że komentator sportowy jest od komentowania sportu, a nie od tego, żeby miał jakieś poglądy czy ocenę rzeczywistości i się tą oceną popisywał. Pracodawca Zimocha wyraźnie stwierdził, że zawiesił go, kierując się „interesem pracodawcy”, z czym trudno się nie zgodzić. Bo jaki interes ma pracodawca w dopuszczaniu Zimocha do komentowania imprez sportowych, skoro „narusza on zasady etyki zawodowej”, krytykując sytuację w mediach narodowych i występując publicznie w obronie prezesa Trybunału Konstytucyjnego, co – jak wiadomo – rodzi uzasadnione podejrzenie, że Zimoch jest „komunistą i złodziejem”.

Można oczywiście zrozumieć, że red. Zimoch nie potrafi się powstrzymać od posiadania własnej oceny rzeczywistości i jej publicznego wygłaszania. Ale jego pracodawcom



trudno zrozumieć, dlaczego musi to koniecznie być ocena nieuzasadniona, dyktowana przez niechętnie Polsce ośrodki. Dlaczego nie może to być ocena właściwa, której – jestem tego pewien – nikt nie zabraniałby Zimochowi mieć. Przykład innych dziennikarzy mediów narodowych (w tym także komentatorów sportowych) pokazuje, że jak się chce mieć właściwą ocenę sytuacji, to można.

Dlaczego Zimoch nie może mieć takiej oceny jak, dajmy na to, redaktorzy Ziemięć czy Babiarczy, którzy z tego powodu są dziś w TVP bardzo cenieni? A przecież jestem pewien, że tych redaktorów nikt do posiadania słusznej oceny rzeczywistości nie zmuszał, że decyzję w tej sprawie podjęli dobrowolnie. I – jak widać – dobrze na tym wyszli. Ważne też, że teraz się ze swoją oceną nie kryją, a mimo to nikt w kierownictwie TVP nie ma do nich o to pretensji, co pokazuje, że intencją władz mediów narodowych nie jest bynajmniej zabranianie dziennikarzom posiadania poglądów, jeśli z jakichś powodów muszą je mieć.

Oczyszczenie mediów narodowych z redaktorów takich jak Zimoch powinno przyczynić się do wzrostu ich oglądalności i słuchalności, która zresztą już jest bardzo wysoka. Wprawdzie ośrodki badawcze twierdzą, że „Wiadomości” TVP dramatycznie tracą widzów, ale jest to tylko opinia tych ośrodków. Moim zdaniem rzeczywistą oglądalność „Wiadomości” poznamy dopiero wtedy, gdy liczeniem widzów zajmie się policja, co, miejmy nadzieję, nastąpi wkrótce.

OPEN'ER FESTIVAL

Powered by **Orange**

29.06-2.07.2016 GDYNIA

LOTNISKO GDYNIA-KOSAKOWO

29.06

FLORENCE+THE MACHINE

30.06

RED HOT CHILI PEPPERS

1.07

LCD SOUNDSYSTEM | SIGUR RÓS

2.07

PHARRELL WILLIAMS | KYGO

AT THE DRIVE-IN | BASTILLE | BEIRUT | CARIBOU

CHVRCHES | DAWID PODSIADŁO | FOALS | GRIMES

KURT VILE & THE VIOLATORS | M83 | MAC DEMARCO

MAC MILLER | PAUL KALKBRENNER | PJ HARVEY

SAVAGES | TAME IMPALA | THE 1975

THE LAST SHADOW PUPPETS | WIZ KHALIFA

DJ TENNIS | FLIRTINI | JACEK SIENKIEWICZ | KAMP! | KORTEZ

ŁONA I WEBBER | MAŁPA | MARIA PESZEK | NOTHING BUT THIEVES | PTAKI

RASMENTALISM | REBEKA | RYSY | TWIN ATLANTIC | VINCE STAPLES

XXANAXX | ZBIGNIEW WODECKI WITH MITCH & MITCH ORCHESTRA AND CHOIR

AN ON BAST | BAASCH | CHINO | COLDAIR | CZELUŚĆ (JUTRØ X KOSA) | GROBEL | HANA

HEROES GET REMEMBERED | JAAA! | JÓGA | KUBA SOJKA | KROKI | LXMP | NAGROBKI

OLIVIER HEIM | PIOTR BEJNAR | PIOTR ZIOŁA | SHY ALBATROSS | SONAR | SOOM T | SPOKEN LOVE

STARA RZKA | SUUMOO | T'JEN LAI | TERRIFIC SUNDAY | V/O | ZAMILSKA

OPENER.PL

@opener_festival
#opener2016

PROMOTOR: **ALTER ART**

SPONSOR GŁÓWNY:



SPONSORZY:



WSPÓŁPRACA:



PATRONI MEDIALNI:



POLESKIE RADIO

COMEDY CENTRAL

13

Newsweek

cojestrane24

ams

empik

CINEMA CITY

Otwieramy OKO



Jerzy Baczyński

Po wielu tygodniach przygotowań 15 czerwca rusza portal OKO.press. Nazwa OKO rozwija się jako Ośrodek Kontroli Obywatelskiej i tak też nazywa się fundacja, która jest wydawcą portalu OKO. Fundację zarejestrowała grupa dziennikarzy związanych z organizacją Towarzystwo Dziennikarskie, w tym wyrzuceni ostatnio z mediów publicznych. Ponieważ sam towarzyszyłem temu projektowi od początku, a POLITYKA z całym przekonaniem wspiera to przedsięwzięcie (choć bezpośrednio w nim nie uczestniczy), przedstawiając OKO.press, będę czasem pisał „my”. Otóż OKO.press, jak deklarują obok redaktorzy portalu „powstało z zaniepokojenia sytuacją w Polsce”. Jest projektem medialnym, zarejestrowanym tytułem prasowym, ale zarazem społecznościowym medium internetowym i archiwum życia publicznego po wyborach 2015.

OKO ma być narzędziem obywatelskiej kontroli władzy, która po kolei wyłącza wszystkie istniejące dotychczas systemowe bezpieczniki, chroniące obywateli i instytucje państwa przed nadużyciami, samowolą i opresją ze strony rządzących. Jest tworem niezależnym od partii politycznych, także (przy całej sympatii) od KOD, który równolegle buduje swoje własne media. OKO.press jest w stadium debiutu, nie wszystkie pomysły udało się już zrealizować, ale siła i rozwój Ośrodka zależy wyłącznie od wsparcia społecznego, merytorycznego i materialnego, bo chcemy, aby portal był finansowany ze składek społecznych. Co w nim jest, co będzie? Dział dziennikarstwa śledczego (w redakcji OKO ma już nieformalną nazwę „Spotlight”) kierowany przez Biankę Mikołajewską, wieloletnią dziennikarkę POLITYKI, a ostatnio „Gazety Wyborczej”, laureatkę niemal wszystkich nagród dziennikarskich, zwłaszcza za kilkunastoletnie uporczywe (znaczone licznymi wygranymi procesami sądowymi) śledztwo w sprawie SKOK. W tym numerze POLITYKI zamieszczamy jeden z materiałów śledczych Bianki i jej zespołu, dotyczący („entuzjastycznie prounijnych”) interesów męża pani premier Szydło (s. 12). Ciąg dalszy już w OKO.press. Wkrótce kolejne publikacje odsłaniające niejasne interesy i jawne nadużycia ludzi nowej władzy. Zespół OKO twierdzi, że jeśli władza się zmieni, będzie równie uciążliwy i wścibski wobec nowej.

Dział „fact-checkingu”, czyli codziennego konfrontowania z faktami nonszalanckich lub jawnie kłamliwych wypowiedzi rządzących (także polityków opozycji, którzy pozwalają sobie na „nieścisłości”). Przy okazji powstaje archiwum cytatów, bo pamięć bywa zawodna, a warto, żeby politycy (i wyborcy) wiedzieli, że „zapisane będą czyny i rozmowy”. Jest także specyficzny dział kadr nie tylko towarzyszący bezprecedensowemu w historii wolnej Polski czystkom personalnym, ale także oceniający zachowania, zwłaszcza ludzi z partyjnej nomenklatury, w administracji, instytucjach, spółkach Skarbu Państwa, środowiskach naukowych, kulturalnych, w wymiarze sprawiedliwości. Tu będą przyznawane żółte kartki, szczególnie za zachowania brutalne, chamskie, naruszające pisane prawo i niepisane „europejskie, cywilizowane standardy”. Zespół OKO zwraca się z apelem do obywateli, aby byli „sygnalistami”, przekazywali (jest bezpieczny tryb komunikowania się z redakcją) informacje o nadużyciach ludzi władzy. W miarę możliwości będą one sprawdzane i upubliczniane. Tylko presja opinii publicznej może mitygować „suwerena”.

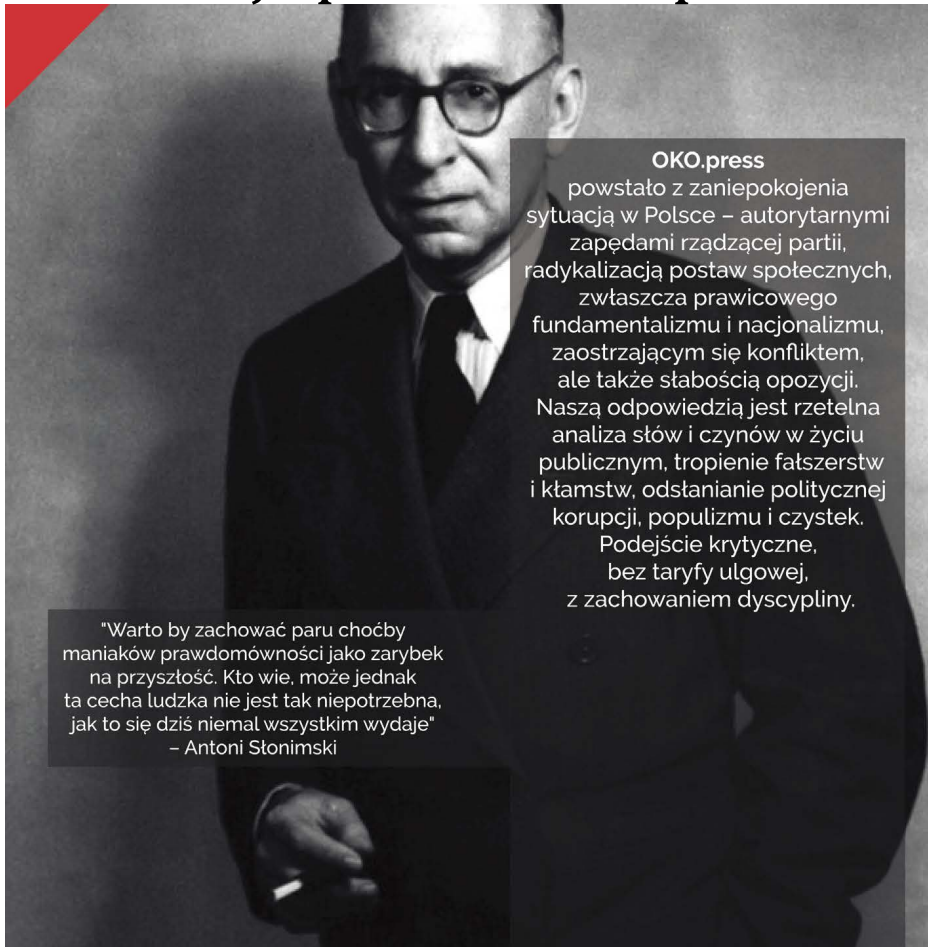
Planów jest mnóstwo: powstaje „OKOPEDIA”, czyli „kronika dobrej zmiany”; jest już i będzie wzbogacany „słownik polsko-pisowski”; analiza obietnic wyborczych. Będą gromadzone memy, teksty kabaretowe, artykuły publicystyczne, opracowania organizacji pozarządowych, środowisk naukowych, think tanków, dotyczące zarówno bieżących wydarzeń i projektów, jak i przyszłości, czyli „co będzie po”. Na razie w redakcji OKO.press pracuje kilkanaście osób, część społecznie. Redaktorem naczelnym (bo to normalny tytuł prasowy) jest Piotr Pacewicz (przez 15 lat wicenaczelną „Wyborczej”, społeczny aktywista), jego zastępczyniami są Bianka Mikołajewska i Agata Szczęśniak, współzałożycielka „Krytyki Politycznej”. Współpracują doświadczeni dziennikarze, m.in. Eugeniusz Smolar, Adam Leszczyński, Kamil Dąbrowa, Jakub Stachowiak, Piotr Najsztub, Stanisław Skarżyński oraz spora grupa młodych entuzjastów z ngo’s, już z doświadczeniem eksperckim.

Jeśli OKO.press ma spełnić swoją rolę Ośrodka Kontroli Obywatelskiej, potrzebna jest zrzutka. Rozliczenia fundacji (non profit) będą transparentne, ale same wpłaty otoczone dyskrecją. Jeśli np. dostałeś 500 zł na dziecko, a nie jest ci nieodzwrotne, podziel się; każda wpłata, najlepiej regularna, będzie przyjęta z wdzięcznością (numer konta – na stronie obok). Setki tysięcy przychodzą na manifestacje KOD, to pierwsi adresaci apelu. Przeprowadzamy na sobie pewien test na zdolność do rzeczywiście, społecznej mobilizacji; jeśli się nie uda, to znaczy, że jakoś zgadzamy się żyć w świecie Jarosława Kaczyńskiego. PiS, głównie za pieniądze SKOK, stworzył rozbudowane imperium propagandowe. Pora odpowiedzieć w taki sposób, jak potrafimy: spokojnie, wiarygodnie, dociekliwie, rzeczowo, bez insynuacji i szczucia. Musimy powiedzieć tej władzy: mamy na was OKO.

Jan Koza



Deklaracja portalu OKO.press



OKO.press
powstało z zaniepokojenia sytuacją w Polsce – autorytarnymi zapędami rządzącej partii, radykalizacją postaw społecznych, zwłaszcza prawicowego fundamentalizmu i nacjonalizmu, zaostrzającym się konfliktem, ale także słabością opozycji. Naszą odpowiedzią jest rzetelna analiza słów i czynów w życiu publicznym, tropienie fałszerstw i kłamstw, odłanianie politycznej korupcji, populizmu i czystek. Podejście krytyczne, bez taryfy ulgowej, z zachowaniem dyscypliny.

"Warto by zachować paru choćby maniaków prawdomówności jako zarybek na przyszłość. Kto wie, może jednak ta cecha ludzka nie jest tak niepotrzebna, jak to się dziś niemal wszystkim wydaje"
– Antoni Stoniński



OKO.press

FUNDACJA OŚRODEK KONTROLI
OBYWATELSKIEJ OKO
NR KONTA: 92 1160 2202 0000 0003
0434 1595
KRS: 0000620036
REGON 364609880
NIP 5213737081

Młodzi lekarze się buntują

Kolejna grupa zawodowa wychodzi na ulice – rezydenci.

Po zakończeniu strajku pielęgniarek z Centrum Zdrowia Dziecka czas na manifestację rezydentów z całej Polski. To młodzi lekarze odbywający specjalizację, którzy na 18 czerwca zapowiedzieli w Warszawie przemarsz spod siedziby Ministerstwa Zdrowia do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Chcą przypomnieć Konstantemu Radziwiłłowi, że zanim został ministrem, gorąco popierał ich postulaty, wspólnie domagając się dwukrotnej średniej krajowej. Podobnie jak u pielęgniarek chodzi nie tylko o podwyżkę pensji, ale też o poprawę warunków pracy. Sprowadza się ona do obowiązkowego szkolenia, gdyż 5–6 lat rezydentury lekarz poświęca przede wszystkim na naukę specjalizacji, a tylko częściowo płaci za to państwo.

– Nasza pensja wynosi obecnie 2275 zł na rękę, co stanowi 70 proc. średniej krajowej. Z tego musi wystarczyć na życie, na opłacenie kursów, za które organizatorzy liczą sobie nawet ponad 1 tys. zł, i na podręczniki – wylicza **Filip Dąbrowski**, przewodniczący Komisji ds. Młodych Lekarzy przy Naczelnej Radzie Lekarskiej. W ramach uposażenia, które rezydenci otrzymują z Funduszu Pracy (pensje starszych lekarzy uzależnione są w szpitalach od kontraktu z NFZ), przepracowują w tygodniu 64 godz. Ostatnią podwyżkę otrzymali w 2009 r., kiedy rezydentką była córka ówczesnej minister Ewy Kopacz. – Z powodu braku specjalistów wyznacza się nam zadania przekraczające kompetencje – dodaje Dąbrowski. – Raz zastępujemy sekretarki medyczne, kiedy indziej sami przyjmujemy chorych na oddziałach ratunkowych. Brakuje nad tym kontroli i standardów.



© PAP/WPROSTAREK MARKOWICZ

Wciąż nierozwiązanym problemem pozostaje zagospodarowanie etatów rezydentckich, które rozdziela na województwa minister zdrowia. Nie zawsze idzie to w parze z wolnymi miejscami w szpitalach, gdzie lekarze chcieliby akurat zdobywać zawodowe szlify. Podczas ostatniej jesiennej kwalifikacji przyznano 5746 etatów, ale z różnych powodów aż 41 proc. pozostało niewykorzystanych. – Zamiast z zaoszczędzonych pieniędzy podnieść nam pensje, wróciły one do Funduszu Pracy, który i tak powinien kipieć kasą, skoro bezrobocie spada – skarży się Filip Dąbrowski, postulując, by system rozdziału rezydentur był bardziej elastyczny. Nie chcemy emigrować – deklarują młodzi lekarze, oczekując w zamian poprawy warunków pracy. A od ministra – lepszej pamięci, bo przecież jeszcze niedawno, tak jak wobec pielęgniarek, był po ich stronie. PAW



I przyznaje, że od chwili pojawienia się koncepcji NPP wiele osób borykających się z problemem bezpłodności nabrało wątpliwości. – Tak jakby komunikat wysłany ze strony władzy, reprezentowanej przez Ministerstwo Zdrowia, o tym, że in vitro nie będzie już teraz refundowane ani wspierane państwowo, wytrącił pacjentów z równowagi, jakby uznali, że skoro ich państwo nie wspiera tej metody, to może jest z nią coś nie tak.

Osoby, które zakwalifikowały się do wygasającego właśnie programu refundacji in vitro, ale przeszły np. dopiero jedną z trzech możliwych do wykonania prób, teoretycznie będą mogły dokończyć leczenie na koszt programu. Chociaż czy rzeczywiście będzie to możliwe i kto faktycznie poniesie koszty zabiegów po wygaszeniu programu, okaże się po 1 lipca. Na pewno wiadomo, że rodzice będą z własnej kieszeni utrzymywali zamrożone zarodki, które są przechowywane w klinikach, a to jest koszt od 400 do 900 zł rocznie.

Z pomocą przyszły gminy i urzędy miejskie, które tak jak w Częstochowie współfinansują procedurę in vitro albo jak w Łodzi czy Poznaniu, gdzie przygotowują się do tego. Tyle że w porównaniu z rządowym programem refundacyjnym, który oprócz zakupu leków (a te w dodatku od czerwca 2014 r. są refundowane w 70 proc.) pokrywał prawie całość kosztów leczenia, gminne wsparcie zawsze jest dofinansowaniem do jakiejś wysokości, np. 3 lub 5 tys. Nawet więc przy wsparciu miasta na zabieg in vitro i tak trzeba będzie mieć kilka lub kilkanaście tysięcy złotych wkładu własnego. Program refundacyjny udostępniał procedurę in vitro niemal wszystkim, teraz wiele osób straci szansę. A.M.

Co po in vitro

Rząd kończy refundowanie zabiegów in vitro. Będą kliniki prokreacyjne.

Minister zdrowia Konstanty Radziwiłł twierdzi, że rządu nie stać na wspieranie jednej grupy społecznej, a metoda in vitro nie jest jedynym sposobem leczenia niepłodności. W miejsce wygasającego programu powstanie Narodowy Program Prokreacyjny (NPP), w ramach którego zaczną działać kliniki referencyjne zapewniające nie tylko diagnostykę, porady andrologiczne i terapeutyczne, ale też edukację i uświadamianie pacjentów, jak to np. obcista bielizna albo zły styl życia mogą wpływać na płodność. W razie potrzeby w klinikach będzie możliwa również hospitalizacja. Nikt nie będzie wyklucał też zapłodnienia pozaustrojowego, ale będzie to metoda stosowana w ostateczności, po tym jak zawiodą inne.

– W ten sposób będzie się tylko wydłużał proces leczenia – zauważa Anna Krawczak,

członkini stowarzyszenia Nasz Bocian i autorka książki „In vitro. Bez strachu, bez ideologii”. Poza tym wygaszając i krytykując program, rząd buduje nieufność w społeczeństwie wobec uznanej na świecie metody terapeutycznej.

– Komunikat, który płynie ze strony państwa na temat adopcji, wspierania rodzicielstwa czy metod leczenia niepłodności, ma olbrzymie znaczenie – wyjaśnia Anna Krawczak. Jej zdaniem państwo wyznacza standardy. – Kiedy w 2013 r. wszedł rządowy program refundacji, to obserwowaliśmy w stowarzyszeniu Nasz Bocian wzmoczony ruch ludzi, którzy okazywali dumę, opowiadali swoje historie i chcieli głośno mówić o tym, że mają dzieci z in vitro. Ludzie poczuli, że państwo rozpoznaje ich sytuację i pomaga przezwyciężyć trudności. Teraz to się ucięło – tłumaczy Krawczak.

Prześwietlanie radykalizmu

Dlaczego młodzi ludzie poddają się radykalizacji? – zbada zespół polskich ekspertów, na zlecenie Komisji Europejskiej. Przyjrzy się też społecznym i instytucjonalnym możliwościom skutecznego przeciwdziałania temu zjawisku. Projekt DARE (Dialogue About Radicalisation and Equality) jest w fazie ostatecznych przygotowań, ruszy w styczniu 2017 r. – Chodzi o radykalizację skrajnie prawicową oraz islamistyczną, w tym terroryzm, a także o ich konsekwencje dla Europy – mówi dr Łukasz Jurczyszyn, kierownik tego projektu w Polsce, socjolog, politolog, z Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora, który przeprowadzał badanie terenowe wśród ONR i rosyjskich nacjonalistów. – O pilności tego problemu świadczy fakt, że odpowiedź dotyczącą startu tego projektu mieliśmy otrzymać z KE dopiero w listopadzie, a nadeszła do nas pod koniec maja – mówi dr Jurczyszyn.

Projekt DARE skupia się na wpływie radykalizacji islamistycznej na rozwój tendencji radykalizacyjnych wśród działaczy i sympatyków skrajnej prawicy w Europie i vice versa.



© LUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

Poza Polską badania odbędą się w 13 krajach, m.in. w Belgii, we Francji, w Niemczech, Wielkiej Brytanii, Grecji, Turcji, Tunezji i Rosji. Zespół dr. Jurczyszyna będzie odpowiedzialny za krytyczny przegląd obecnej wiedzy, przedsięwzięć i interwencji dotyczących radykalizacji i antyradykalizacji wytworzonych przez unijne instytucje, a także przez wszystkie państwa, które biorą udział w tym projekcie. Bardzo ważnym elementem DARE jest rozpoznanie postaw młodych ludzi, którzy są celem rekrutacji radykalnych środowisk. – Przeprowadzimy liczne wywiady i grupowe dyskusje konfrontacyjne między działaczami radykalnych organizacji, ich sympatykami, a także tymi, którzy byli ich członkami, ale zrezygnowali z tej działalności – mówi Jurczyszyn. – Będę korzystał z moich dotychczasowych kontaktów w tych środowiskach, ale też wypracujemy nowe. Chcemy rozmawiać bez uprzedzeń z tymi młodymi ludźmi i ich zrozumieć. Na liście zaproszonych do rozmów jest kilkanaście działających w Polsce organizacji radykalnych.

W polskim projekcie weźmie również udział specjalista od terroryzmu dr Krzysztof Liedel oraz prof. Rafał Pankowski z antyrasistowskiego stowarzyszenia Nigdy Więcej, wykładowca Collegium Civitas. (DAB.)



Druga kadrowa rusza na media

Na apel prezydenta, aby do szczytu NATO i zakończenia ŚDM ostudzić polityczną gorączkę, odpowiedział prezes Kaczyński, zarzucając opozycji, że broni terrorystów.

Nadzwyczajnie widowiskowy upadek ustawy zwanej „dużą medialną”, mającej ustanowić media narodowe, uznano za największą z dotychczasowych legislacyjnych wpadek PiS, które w produkcji legislacyjnych bubli bije rekordy. Tym razem zbuntowały się nawet zwykłe karne partyjne szeregi i sama pani przewodnicząca sejmowej komisji kultury Elżbieta Kruk powiedziała: dość. Na usprawiedliwienie przywołano, rzecz jasna, Brukselę i wymaganą przez nią notyfikację przy okazji zmian abonamentowych. Notyfikacja oczywiście jest potrzebna i jeśli z tego faktu autorzy zdali sobie sprawę dopiero teraz, świadczy to o ich niekompetencji. Rzecz jednak w tym, że cały projekt nadawał się wyłącznie do kosza, gdyż niczego porządnie nie przemyślano: ani kształtu tych nowych instytucji kultury powstających w miejsce pogardzanych spółek prawa handlowego, ani kwestii opłaty audiowizualnej, która powinna zapewnić stabilne finansowanie na poziomie 2 mld zł.

Okazało się, że PiS jest mocne tylko tam, gdzie trzeba złapać parę stanowisk, tam gdzie trzeba pomysłów i wiedzy, jest zwykłe intelektualna pustka. I dodatkowo niechęć do korzystania z doświadczeń i opracowań już gotowych. KRRiT przygotowała różne warianty finansowania, ale nie brano ich pod uwagę, pewnie uznając, że są z wrogiego obozu. Podobno ma powstać druga „mała” ustawa abonamentowa, bo pieniędzy od zmian kadrowych nie przybywa, raczej ubywa, a wraz z odpływem widzów ubędzie więcej. Możliwości lepszego ściągania abonamentu już się wyczerpały. I co teraz? Inspekcje domowe, aby złapać tych, co nie płacą? Przypisać abonament do PIT, czyli jednak ruszyć podatki? Nie wydaje się, by autorzy mieli jakiś pomysł.

Tak więc zamiast „dużej medialnej” będzie druga „kadrowa”, która sprawi, że decyzje personalne przeniesione zostaną z ministra skarbu na Radę Mediów Narodowych, gdzie opozycji przyznano aż dwa miejsca. Początkowo było jedno, ale jak wiadomo, PiS jest partią skłonną do głębokich kompromisów, więc dorzucono miejsce dla ruchu Kukiz'15, bo aż dwie największe sejmowe partie opozycyjne mają mieć swoich przedstawicieli. Taki to rozkwit demokracji. PiS oczywiście będzie miało trzech, więc wszystko przegłosuje, a jak trzeba, to i Kukiz pomoże. Wygrał Kurski, przegrał Czabański – ogłosili liczni komentatorzy. O Kurskim jako prezesie telewizji nieźle wyrażał się ostatnio prezes Kaczyński, więc posadę zdaje się mieć na razie za pewniak, tym bardziej że w spółce jednak trudniej zmieniać władzę, nawet jeśli kompetencje do ich powoływania ma mieć nowa rada. Nie ma to jednak większego znaczenia: Czabański może zostanie prezesem RMN, w którym to gremium określenie „narodowe” brzmi i śmiesznie, i cynicznie.

Dla Platformy to wyzwanie: wchodzić do Rady czy nie wchodzić? Wchodzić i autoryzować skrajne manipulatorskie medialne partyjniactwo, okraszone warsztatem urągającym jakimkolwiek standardom dziennikarskim, czy jednak wejść, by przynajmniej wiedzieć, co się dzieje? Chociaż, co się dzieje, widać i słyszać codziennie. Propagandowy bezwstyd programów informacyjnych i publicystycznych bije po uszach i oczach. Właściwie dopiero teraz należy docenić stanowisko premiera Tuska, który w przekonaniu, że media publiczne są i będą li tylko partyjnym łupem, nie chciał dawać na ich utrzymywanie większych pieniędzy i wzywał nawet do niepłacenia abonamentu. Dziś takie wezwanie miałoby pełne uzasadnienie. Niech PiS utrzymuje swoje media z własnych pieniędzy. Niech utrzymuje posady dla Kur-

skiego i Czabańskiego oraz praktykantów z Telewizji Trwam czy też faworytów wicepremiera Glińskiego, który z wielką szczerością wyznawał przecież, że czas, aby „swoi” się dorabiali. I będą się dorabiali, bo zadania propagandowe coraz większe.

Jeszcze tydzień temu prezes Kaczyński opozycję nazywał rebeliantami, teraz uznał, że stoi ona za terrorystami. Z terrorystami i ich protektorami trzeba się oczywiście rozprawić i przyzwolenia, a nawet zachęty, będą. Prokuratura Zbigniewa Ziobry na przykład już umarza śledztwa w sprawach mających wyraźne znamiona mowy nienawiści. Nawet kibolską zapowiedź stawiania szubienic uznano za dopuszczalną krytykę. Prokuratura uznała też, że „wyrażanie poglądów politycznych objęte jest konstytucyjnym prawem wolności słowa”. Najwyraźniej szubienica stała się „poglądem politycznym”.

Na propagandowym froncie trzeba się też bić też o smoleńskie pomniki. Prezes wcielił się ostatnio w rolę stołecznego konserwatora zabytków i wyznaczył już dokładne miejsca ich budowy przy Krakowskim Przedmieściu, a jak wiadomo, prezes nie cofa się ani o krok. W kwestii katastrofy pod Smoleńskiem PiS generalnie nie ustępuje. Dzięki ministrowi obrony narodowej apele poległych muszą uwzględniać smoleńskich „poległych”. Bez nich nie ma woj-skowej asysty na uroczystościach rocznicowych. Smoleńskie ofiary, podobnie jak żołnierze wyklęci, mają zastąpić wszystkich. W najbliższym czasie zastąpią ofiary wydarzeń czerwcowych w Poznaniu w 1956 r. Po co Armia Krajowa, Państwo Podziemne, po co poznański Czerwec czy gdański Sierpień? Za dużo niechcianych i niesłusznych bohaterów. Być może nie zrozumiał tego jeszcze prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak (wyrasta na jednego z najciekawszych polityków), który prosi ministra Macierewicza, by ofiar lotniczej katastrofy nie mieszać ze zrywem i śmiercią poznańskich robotników w 1956 r. Ciekawe, czy Macierewicz odróżni rok 1956 od 2010? Wielkich nadziei nie ma, wszak już na początku swego urzędowania zapowiedział, że „wyjaśnienie” smoleńskiej katastrofy jest kwestią honoru Wojska Polskiego.

Nie jest natomiast kwestią honoru polskiego rządu i rządzącego Obozu ułożenie poprawnych stosunków z instytucjami europejskimi. Chyba że za honorowe uznać nieustanne demonstrowanie poczucia wyższości i lekceważenia Unii. Oto bowiem stanowisko Komisji Europejskiej w kwestii praworządności najprawdopodobniej zaginęło. Pani premier skierowała je do marszałka Sejmu, marszałek nic nie wie i uznaje, że to nie jego sprawa, także minister spraw zagranicznych wzruszył ramionami i uznał, że nie jest zainteresowany. Zainteresowana była jedynie opozycja, ale pisma przeczytać nie mogła.

Jak wiadomo, opozycja wyłącznie wysługuje się obcym, trudno więc dawać jej do ręki jakiegokolwiek dokumenty. Ponadto w najbliższym czasie opozycja będzie zajęta. Powinna przecież wziąć udział w naprawie Trybunału Konstytucyjnego i pokazać, że jest zdolna do kompromisu, czyli przyjąć projekt kolejnej ustawy naprawiającej naprawczą. I jeszcze siedzieć cicho. Prezydent zaapelował przecież, aby do szczytu NATO i zakończenia Światowych Dni Młodzieży wyciszyć nastroje. W ramach uspokojenia na sejmową mównicę wszedł więc Jarosław Kaczyński, by poobrażać tych, którymi tak bardzo gardzi, bo są słabo „inkulturowani”. Czyżby prezes znów chciał sponiewierać także prezydenta i jego apele?



© HAGEN HOPKINS/CONTRIBUTOR/GETTY IMAGES

Ulubione narzędzie zbrodni

Sprawca masakry w Orlando posłużył się karabinem AK-15, reklamowanym jako „broń dla młodych i przebojowych”.

Karabin szturmowy AK-15 jest najchętniej kupowaną cywilną bronią długolufową w USA. Na Florydzie łatwiej go kupić niż pistolet. Dwie sztuki zostały użyte 12 czerwca przez 29-letniego Omara Mateena w Orlando w gejowskim klubie Pulse podczas najkrwawszej strzelaniny w historii USA – ponad 50 ofiar. Z AK-15 strzelał też morderca 14 ludzi w San Bernardino w 2012 r. Tą samą bronią posłużył się zamachowiec, który kilka miesięcy później w podstawówce w Sandy Hook zabił 26 osób, w tym 20 dzieci.

Na Florydzie nie potrzeba licencji, aby kupić karabin, strzelbę czy pistolet. Należy tylko podać swoje dane w formularzu i opłacić procedurę kontroli własnej kartoteki (8 dol.). Broni nie dostaną osoby skazane, sprawcy przemocy domowej i niebezpieczni dla otoczenia. Paradoksalnie, przepisy są łagodniejsze w przypadku zakupu karabinu. Na odbiór pistoletu czeka się trzy dni od momentu zakupu. Broń, którą trzeba trzymać dwoma rękoma, tak jak AK-15 i inne karabiny szturmowe, można dostać od ręki. Dodatkowo kupujący są chronieni przez prawo stanowe przed trafieniem do jakiegokolwiek rejestru posiadaczy broni.

AK-15 został zaprojektowany w 1957 r. na potrzeby armii, która poszukiwała „szybkostrzelnego, co najmniej półautomatycznego karabinu z magazynkiem na 20 naboji, który przebiegałby standardowy hełm US Army z 500 metrów”. Później zyskał wojenną sławę jako M16. Jego producentom udało się nawet stworzyć modę na ten karabin – jest reklamowany jako „broń dla młodych i przebojowych”. Dla zwolenników zaostżenia prawa do posiadania broni w USA AK-15 stał się symbolem – bo w końcu, kto potrzebuje takiego karabinu do samoobrony?

Wyszehrad bez Czech?

Jedynym rządem z Czwórki Wyszehradzkiej, który w przecuciu możliwego rozpadu Unii Europejskiej stara się zademonstrować, że chce pozostać częścią Zachodu, jest rząd czeski” – napisał z okazji niedawnego szczytu Grupy Wyszehradzkiej (V4) słowacko-czeski publicysta Martin M. Szimeczka. Politycy i dyplomaci w praskich kuluarach mówią wprost: jeśli w lecie nadal Zachód będzie samotnie, bez wsparcia Europy Wschodniej szarpał się z kryzysem uchodźczym, a Polacy i Węgrzy nie przestaną eskalować napięcia z Berlinem i Brukselą, rząd czeski zdecydowanie odetnie się od swoich sąsiadów, być może wyjdzie z V4 i wybierze współpracę z Zachodem. Czeskie elity polityczne dobrze wiedzą, że to kraje Zachodu, a szczególnie RFN, są najważniejszym partnerem gospodarczym Czech, a poważnych alternatyw właściwie nie ma.

We wspomnianym tekście Szimeczka pisze, że również Słowacja jest rządzona przez populistów, a obóz prozachodni jest w koalicji bardzo słaby. Dlatego zmiany mogą przyspieszyć – w 1992 r. odbyły się w ówczesnej Czechosłowacji wybory, w których temat demontażu państwa był niemal nieobecny, a po kilku miesiącach Federacja przestała istnieć. Szimeczka przypomina jednak, że choć Czechy mają prozachodni rząd, to nastroje w społeczeństwie są bardzo podobne do polskich czy węgierskich. W czeskich sondażach popularności prowadzą populiści, a wybory – za półtora roku.



© REUTERS/FORUM

Jak zarobić na zakazie

Obywatelki Arabii Saudyjskiej są wściekłe na najnowsze wydatki swojego kraju. Państwowy fundusz inwestycyjny znad Zatoki Perskiej za 3,5 mld dol. zakupił właśnie udziały w firmie Uber, twórcy aplikacji, która kojarzy potencjalnych pasażerów z chętnymi kierowcami. To jeden z pierwszych kroków ogłoszonej w kwietniu reformy gospodarczej, która do 2030 r. ma uniezależnić królestwo od zysków z ropy naftowej. Przedstawiciel rządu saudyjskiego wejdzie do kierownictwa firmy i będzie miał wpływ na prowadzoną przez nią politykę, ale nie wszyscy mieszkańcy kraju uważają, że jest to powód do dumy.

W gorącej dyskusji internetowej kilka tysięcy obywateli Arabii przypomniało, że aż 80 proc. klientów Ubera w tym państwie to właśnie kobiety – tak wysoki odsetek to oczywiście efekt zakazu prowadzenia przez nie samochodów. Przyłapanym za kierownicą grozi areszt, dlatego wiele Saudyjek jest często zmuszonych do korzystania z Ubera, mimo że przebywanie w jednym pomieszczeniu z obcym mężczyzną teoretycznie także jest niedozwolone. Władze przymykają jednak na to oko, a Saudyjki irytują się, że teraz łamaniu ich praw już nigdy nie będzie końca, bo państwo zacznie wreszcie z ich przejazdów czerpać korzyści finansowe.

Horror dojrzałości

Komu powinno się noga, będzie miał w życiu pod górkę, raczej niskopłatną pracę i trudności na rynku matrymonialnym. Ci ze świetnymi wynikami trafią na elitarne uniwersytety, po nich na dobre posady i najlepsze partie. Blisko 10 mln młodych Chińczyków czeka na wyniki z *gaokao*, żmudnych egzaminów kończących szkołę średnią, które zdawali 8 i 9 czerwca.

Stresującej maturze podporządkowana była cała dotychczasowa edukacja zdających. Do testów z chińskiego, matematyki, angielskiego i wybranych przedmiotów dodatkowych przygotowywali się latami, kosztem czasu wolnego i często niemałych wydatków finansowych. Powstała nawet część gospodarki obsługująca *gaokao*, od korepetytorów po pakiety hotelowe blisko miejsca egzaminów (by było sprawnie, nie zdaje się w swojej szkole). Rzecz jasna, w ofercie są i nieuczciwe sposoby zwiększania szans. Co roku u egzaminowanych poszukuje się sprzętu do łączności, uczniowie sprawdzani są staranniejsze niż pasażerowie samolotów. Wykrywacze bywają tak czujne, że prowincja Jilin zakazała m.in. wchodzenia



© CHINA PHOTO PRESS/MAXPPP/FORUM

w stanikach z metalowymi elementami. W zeszłym roku użyto dronów wyłapujących sygnały radiowe. Od tego roku ściągający igrają z siedmioletnią karą więzienia.

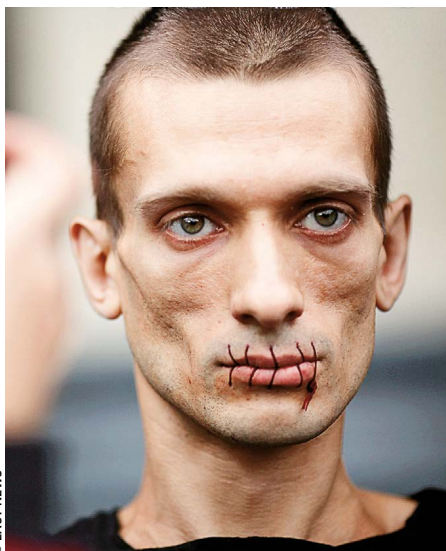
Ustanowione w latach 50. *gaokao* ma korzenie jeszcze w Chinach cesarskich,

przez wieki w drodze powszechnych egzaminów tak wyłaniano urzędników. Krytycy twierdzą, że system produkuje mistrzów w zdawaniu egzaminów, którzy uczą się tak dużo, że nawet nie mają czasu, by spróbować przemyśleć wybór kierunku studiów i dającej satysfakcję profesji.

Podpalić Łubiankę

Artysta odważnymi i szokującymi pokazami zachęca Rosjan do wyrwania się z kręgu strachu.

Rosyjski artysta performer **Piotr Pawleński**, który w listopadzie ubiegłego roku podpalił bramę do siedziby Federalnej Służby Bezpieczeństwa, został zwolniony z aresztu i ukarany grzywną (ok. 7,6 tys. dol.). To zaskakujący wyrok,



biorąc pod uwagę, że do więzienia w Rosji można dziś trafić za polubienie na Facebooku postu „Krym to Ukraina”. Według Pawleńskiego w starciu z państwem „niepodporządkowanie (nieposłuszeństwo) to najskuteczniejsza obrona”. Pomimo sięgania po zaskakującą formę przekaz artysty jest dość prosty. System oparty na terrorze wykorzystuje strach i obojętność obywateli, by ich kontrolować. Ale w chwili gdy – jak Pawleński w swoim performansie – wyrwają się z kręgu strachu, wszechmocne państwo staje się bezsilne i śmieszne.

Pawleński od początku procesu wręcz domagał się zakwalifikowania jego czynu jako terroryzmu. Ale władze nie chciały rozdmuchiwać sprawy, szczególnie że losem artysty zainteresowały się zachodnie media. Początkowo chciano go skazać za wandalizm, a w końcu sięgnięto po absurdalny argument o „niszczeniu dóbr kultury”. Prokurator tłumaczył bowiem, że w budynku FSB (niegdyś siedzibie KGB) przetrzymywano „wybitnych działaczy nauki i kultury”. Innymi słowy, według tej argumentacji Łubianka stała się zabytkiem dzięki prześladowaniu znanych ludzi. Artysta mówi, że swoją sztuką polityczną chce wybudzić rodaków z letargu. W poprzednich swoich akcjach na znak sprzeciwu przeciwko opresyjności państwa m.in. zszywał sobie usta i przybił własne genitalia do bruku na placu Czerwonym.

Prezydencie pokaż dyplom

Internauci domagają się, by prezydent Recep Tayyip Erdoğan pokazał dyplom. Turecki przywódca zawsze twierdził, że studiował administrację biznesu na Uniwersytecie Marmara i w 1981 r. obronił na tym kierunku magisterium. Ale krytycy polityka odkryli, że wydział, którego był rzekomo studentem, nigdy nie istniał, a uczelnia utworzyła podobnie nazywającą się jednostkę dopiero rok po oficjalnej dacie obrony Erdoğan.

Sprawa jest wagi państwowej, bo lokalne prawo wymaga od kandydatów na prezydenta, by legitymowali się wyższym wykształceniem – przeciwnicy obecnie sprawującego tę funkcję przypominają, że podczas wyborów w 2014 r. archiwa Uniwersytetu Marmara były zamknięte i nie można było wówczas sprawdzić, czy Erdoğan spełnia ten warunek. Teraz są już otwarte, ale podobno nie ma w nich rzeczonego dyplomu. W tureckim internecie rządzi więc teraz hashtag #YaDiplomaYalstifa (#AlboDyplomAlboDymisja), choć konstytucjoniści nie są zgodni co do tego, czy wybrany już prezydent faktycznie musiałby ustępować ze stanowiska, gdyby okazało się, że tak naprawdę nie ma wyższego wykształcenia. Tymczasem sam Erdoğan wirtualnie zamieszanie po prostu ignoruje.

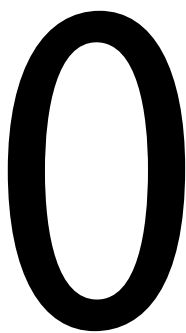
Szkolny biznes Edwarda Szydły

Pieniądze na szkołę, której dyrektorem jest mąż Beaty Szydło, wyłożyły władze Oświęcimia i Unia Europejska. Dziś szkoła jest maszynką do zarabiania milionów złotych z unijnej kasy, kontrolowaną przez kilka prywatnych osób.

BIANKA MIKOŁAJEWSKA, JAKUB STACHOWIAK



© ANDRZEJ GRYGIEL/PAP



O Edwardzie Szydło niewiele wiadomo. Poza tym, że nie lubi dziennikarzy i nie odpowiada na ich pytania. W ciągu siedmiu miesięcy od objęcia teki premiera przez Beatę Szydło wspólnym wysiłkiem gazet i tabloidów udało się ustalić jedynie, że jej mąż jest z wykształcenia historykiem, a z zamiłowania – myśliwym, ogrodnikiem i pszczelarzem. W czasie studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim był kapitanem uczelnianej reprezentacji szczypiornistów, a podczas studenckich praktyk przewodził drużynie piłkarzy. Wtedy się poznali. W 1987 r. wzięli ślub, a od lat 90. mieszkają w niewielkiej miejscowości koło Oświęcimia. Mają wspólne hektarowe gospodarstwo z dwoma domami, ale już dwa samochody są wyłączną własnością Edwarda Szydły, bo – jak ustalił „Super Express” – od 1999 r. małżonkowie mają rozdzielność majątkową.

O pracy i źródłach dochodów męża Beaty Szydło wiadomo tylko tyle, że od lat jest on dyrektorem Szkoły Zarządzania i Handlu w Oświęcimiu. Jak ustaliliśmy, szkoła została założona za pieniądze z kasy miejskiej i z funduszy unijnych. Miała zapewnić absolwentom szkół średnich możliwość dalszej nauki, na wysokim poziomie, bez konieczności wyjazdu z Oświęcimia. Ale szybko stała się częścią wielkiego biznesu, jaki w latach 90. robiły na młodych ludziach rozmaite szkoły policealne. Dziś – wbrew nazwie, kojarzącej się z uczelnią wyższą – jest po prostu ośrodkiem kursów. A głównym źródłem jej dochodów są dotacje z Unii Europejskiej. W ostatnim dziesięcioleciu szkoła i prowadzące ją stowarzyszenie, w którego zarządzie zasiada Edward Szydło, otrzymały łącznie 25 mln zł dotacji unijnych na organizację rozmaitych szkoleń (z partnerami lub bez).

Szczegóły finansów stowarzyszenia otoczone są tajemnicą, bo choć od lat prowadzi ono działalność gospodarczą, jego zarząd nie złożył w sądzie rejestrowym ani jednego sprawozdania finansowego. Za takie samo uchybienie Marcinowi P., prezesowi Amber Gold, prokuratura postawiła kilka lat temu zarzut popełnienia przestępstwa (uchylanie się od obowiązku składania rocznych sprawozdań finansowych).

Chcieliśmy porozmawiać z Edwardem Szydłą o działalności szkoły, stowarzyszenia i powiązanej z nim spółki – Centrum Kształcenia i Usług. Ale nie odpowiedział na nasze prośby o kontakt. W odpowiedzi na pisemne pytania dostaliśmy list sygnowany przez wszystkich członków zarządu stowarzyszenia.

„Z ustaleń Stowarzyszenia wynika, iż pisma o wyjaśnienie działania Stowarzyszenia skierowała Pani do wszystkich możliwych instytucji i organizacji, z którymi współpracujemy lub mieliśmy kontakty. Zatem w naszej ocenie powielanie odpowiedzi na te same pytania nie jest zasadne” – napisali.

Lekcja pierwsza: pieniądze na start

Szkoła Zarządzania i Handlu (SZiH) w Oświęcimiu powstała w ramach unijnego programu pomocowego Tempus, który został uruchomiony na początku lat 90. Celem programu było wspieranie reformy szkolnictwa wyższego w państwach Europy Środkowo-Wschodniej (wówczas nienależących jeszcze do UE), m.in. poprzez tworzenie nowych uczelni.

Najważniejszą częścią Tempusa były projekty współpracy międzyuczelnianej tzw. JEP. Ich uczestnikami miały być przede wszystkim uczelnie wyższe z państw środkowoeuropejskich i państw UE. Ale mogły w nich brać udział również jednostki administracji rządowej, samorządy, organizacje gospodarcze itp.

W prace nad projektem, w wyniku którego powstała SZiH, zaangażowały się władze miejskie Oświęcimia (przekonując, że dzięki szkole maturzyści będą mogli kontynuować naukę bez

konieczności przeprowadzki do innego miasta lub codziennych dojazdów) i ówczesny wojewoda bielski. Z polskich uczelni: filia Politechniki Łódzkiej w Bielsku-Białej, Akademia Ekonomiczna w Krakowie i Akademia Ekonomiczna w Katowicach. A ze strony Unii Europejskiej – dwie uczelnie włoskie i jeden college brytyjski.

W 1992 r. zawiązano Stowarzyszenie na rzecz Szkoły Zarządzania i Handlu. Wśród jego założycieli znaczną część stanowili przedstawiciele władz Oświęcimia. Prezesem organizacji został Dariusz Dulnik (w latach 1990–94 prezydent miasta), a wśród członków zarządu znalazła się trójka ówczesnych urzędników magistratu. W zarządzie zasiadli także ówczesny burmistrz Libiąża – Kazimierz Poznański (od 1997 r. – poseł AWS; w 2003 r. skazany za płatną protekcję na dwa lata więzienia w zawieszeniu) oraz rekomendowany przez niego do władz Edward Szydło.

Parę miesięcy później stowarzyszenie powołało Szkołę Zarządzania i Handlu. Jej dyrektorem został znów Edward Szydło.

Z informacji podawanych wówczas przez „Gazetę Wyborczą” wynika, że miasto Oświęcim wyłożyło na utworzenie SZiH około 300 mln starych zł (30 tys. nowych zł). Na bardzo korzystnych warunkach udostępniono jej też całe piętro w biurowcu należącym do gminnej spółki – Miejskiego Zakładu Komunikacyjnego (czynsz za wynajem 500 m kw. wynosił 250 zł). Szkoła ma tam siedzibę do dziś.

Główną część wydatków związanych z utworzeniem SZiH pokryła jednak Unia Europejska, w ramach programu Tempus. Na projekt przeznaczono blisko 1,1 mln ECU (poprzednik euro) – co na początku lat 90. stanowiło gigantyczną kwotę. Z tych pieniędzy, według „Informatora o projektach współpracy międzyuczelnianej JEP”, wydanego w 1995 r., sfinansowano m.in. szkolenia wykładowców we Włoszech i w Wielkiej Brytanii, zakup 30 komputerów, oprogramowania, kamer wideo, drukarek i kserokopiarek oraz podręczników dla SZiH.

Lekcja druga: budowanie sieci i franczyza

Pierwszych uczniów Szkoła Zarządzania i Handlu przyjęła w 1993 r. Nie była jednak uczelnią wyższą i nie mogła prowadzić edukacji na tym poziomie. Przy filii Politechniki Łódzkiej w Bielsku-Białej utworzono więc wówczas oddział Szkoły Zarządzania i Handlu – College Zarządzania i Inżynierii. Jak tłumaczy Małgorzata Skrzypek, rzeczniczka dawnej filii PŁ (dziś Akademii Techniczno-Humanistycznej), politechnika miała czuwać nad utrzymaniem akademickiego charakteru College’u. Wykładowcami mieli być pracownicy PŁ, Akademii Ekonomicznej w Katowicach i Akademii Ekonomicznej w Krakowie.

Do College’u SZiH maturzyści przyjmowani byli bez egzaminów, musieli tylko zapłacić czesne – około 130 zł miesięcznie. Porozumienie między SZiH a uczelniami zakładało, że po dwóch latach nauki w College’u absolwenci będą mogli kontynuować studia na trzecim roku – na politechnice lub w wybranej akademii. Warunkiem przyjęcia miały być dobre oceny i zaliczenie semestru wyrównawczego zakońzonego egzaminem.

SZiH zaczęła szybko tworzyć oddziały w kolejnych miastach i miejscowościach, m.in. w Bielsku-Białej, Świętochłowicach, Młoszewie i Andrychowie, oferując po kilkadziesiąt, a nawet ponad 100 miejsc w oddziale. Wszędzie rozciągała przed maturzystami tę samą perspektywę – możliwość rozpoczęcia nauki bez egzaminów i kontynuowania jej po drugim roku na którejs z współpracujących uczelni. Chętnych więc nie brakowało.

Latem 1994 r. w dwóch lokalnych dziennikach ukazały się artykuły tego samego autora, podważające sens nauki w SZiH i kwestionujące wartość jej dyplomów. Dziennikarz nazywał SZiH „drogim kursem wieczorowym”, a związek z Politechniką Łódzką – „fikcją”. Przekonywał, że utworzenie szkoły było ak- ►